Należytość pocztową opłacono gotówką.

Murzynek



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

Rok XIV. Grudzień 1926. Nr. 12.

SPIS RZECZY: Boże Narodzenie. — A więc pójdźmy do stajenki... — Ghessesseu, mały męczennik. — Jak »Czterolistna Koniczynka« stała się apostołem. — Afryka. Podróż karawaną. (Dokończenie.)

Ilustracje: Abba Jossief z małym męczennikiem. — Zaczęło się rozpakowywanie. — Mała Gienia klękła tuż przy ołtarzu.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul Sawicz, 1 m. 4· II. p. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje) — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Kolegjaty 2. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — **Rzym:** Sodalizio di S. Pietro Claver **(Roma 23)**, via dell'Olmata 16. — **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 1219, Fullerton Building **St. Louis, Mo.**

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie »Ligi dzieci dla Afryki«.

21. grudnia w dzień św. Tomasza Apostoła;
27. „ „ „ „ Jana „
6. stycznia w dzień św. Trzech Króli.

ŁAMIGŁÓWKA.

da	ta	czem
ga	tem	ta
cha	bo	ra

Z podanych sylab ułożyć znane staropolskie przysłowie.

Rozwiązanie w następnym numerze.

Boże Narodzenie.

Boże Narodzenie! złota gwiazdka świeci,
Na calutkim świecie radują się dzieci,
Boże Dzieciąteczko na tę ziemię schodzi,
Więc Je nam też pięknie powitać się godzi.

Czemże powitamy? Co przyniesiem w darze?
Toż Jego jest wszystko na ziemi obszarze,
My Go nie ucieszym złotem ni kwiatami,
Bo Jego świat cały z wszystkiemi skarbami.

Lecz Pan Jezus dobry, gdy mieszkał na ziemi,
Mówił, by litować się nad ubogiemi,
Rzekł: „co uczynicie bratu maluczkiemu
To jakbyście Mnie to czynili samemu“.

A zatem już wiemy co uczynić trzeba,
By uczcić Dzieciątko zstępujące z nieba:
W Afryce miljony jeszcze czarnych dzieci,
Którym jasna gwiazdka zbawienia nie świeci,

Które męczy nędza i niedola sroga,
A to najstraszniejsze, że nie znają Boga.
Dla biednych murzynków my grosik złożymy,
I u Dzieciąteczka łaskę wyprosimy.

Że im prawda Boża duszyczki ożywi,
Że poznają Boga i będą szczęśliwi,
Poznają Najświętsze Dzieciąteczko Boże,
Ucieszą się w świętej Narodzenia porze.

A my rzekniem Panu: „Oto nic nie mamy,
Ale Ci te czarne dzieci przedstawiamy,
Radość ich przyjm w darze dziś od białych dzieci,
Przez nas niech murzynkom też gwiazdka zaświeci“.

Wanda Grochowska.



A więc pójdźmy do stajenki...

Z listu Siostry Pauli Hafner, Oblatki św. Franciszka Salezego, z Namagi.

Boże Narodzenie obdarzyło nas tą wielką pociechą, że ludzie, którzy już od szeregu lat z powodu zbyt wielkiej odległości nie przychodzili do kościoła, stawili się jak jeden mąż. Przyszły do żłóbka dzieci, byli i dorośli, którzy całe trzy dni pieszo iść musieli po rozpalonym pustynnym piasku. Spieszyli do Bożej Dzieciny prawdziwą karawaną: pochód otwierali znający drogę, za nimi dwa osły objuczone pakunkami przeróżnymi, jako to pościelą, naczyniami blaszanemi z wodą, statkiem kuchennym i zapasami żywności. Chłopcy, idąc obok, poganiali je od czasu do czasu biczami. Za nimi postępowały kobiety i młodsze dzieci. Przed kilku zaledwie laty wzeszła dla ludzi tych gwiazda wiary, ale tak są gorliwi od chwili, gdy przyjęli chrzest święty! A przecież bardzo tylko szczupła garstka dzieci przychodzić może do szkoły, ponieważ ojcowie przyjęli pracę w odległych farmach i cała rodzina tym sposobem mieszka za daleko od Misji.

Jak strojnie wyglądały w dniu Bożego Narodzenia dzieci naszej stacji misyjnej w swych nowych sukienkach! Obecnie jednak wyczerpał się nasz zapas zupełnie, bo przecież także i te dzieci, które z tak daleka przyszły, wyglądały podarku od Dzieciątka Jezus — trudno im było odmówić.

Ghessesseu, mały męczennik.

(Opowiedziane przez niego samego.)

Drodzy Dobroczyńcy!

Abba Jossief (Ojciec Józef), czcigodny nasz przełożony, powiedział mi, żebym Wam napisał moją historję. Odpowiedziałem mu, że jestem tylko dzieckiem i że dlatego ani się czuję zdolnym ani godnym pisać do wielkich białych osobistości... Abba Jossief rozśmiał się na to, poczem mnie zapewnił, że jesteście wszyscy dobrzy jak cukier, dobrzy jak masło, dobrzy jak miód... Przekonało mnie to od stóp do głów. »O, kiedy tak, zawołałem wesoło, jeśli tak rzeczy stoją, to już się nie boję napisać«. Chwyciłem za pióro — i oto jest... Będziecie wyrozumiali dla małego Abisyńczyka Serce jego myśli często dobre rzeczy; nie wie tylko jak je wyrazić. Spróbuję jednak, życząc Wam wpierw gorąco cierpliwości świętego męża Joba.

Zacznijmy — od początku.

Jestem z kraju królowej Saby, matki Menelika I. Jeśli może przyjedziecie tu kiedy, to zobaczycie, że nic się tu nie zmieniło, że wszystko takim samym idzie trybem, jak za czasów tej sławnej władczyni, którą szczycimy się słusznie, my Abisyńczycy.

Nazywam się Ghessesseu, to znaczy »jego obraz«, obraz ojca. Mamusia dała mi to śliczne imię, kiedym się urodził. Ucałowała mnie czule, a przyglądając się z uwagą maleńkiemu memu noskowi, bródce, uszkom, zawołała: »Ghessesseu! to jego obraz!«

Rodzinna moja wieś zwie się Golemekada, w prowincji Agamie. Ojciec, kegnasmatch (dowódzca prawego skrzydła) Redda (to znaczy: pomoc Boża), a matka, Amete (co się wykłada: służebnica Boża). Mam czterech braci i dwie siostry; ja jednak mam zaszczyt być pierworodnym... Liczę lat około czternastu. Lepiej dodać około, by ni siebie ni was nie omylić. U nas bowiem nie jest się pewnym co do swego wieku, chyba, że się jest uczonym.

Kiedym wstąpił do szkoły Niepokalanego Poczęcia w Guali, miałem mniej więcej jedenaście lat. Ojciec mój zwrócił się był do Abby Jossiefa z prośbą o przyjęcie mnie do tego zakładu. Wielu rodziców pragnęło tego samego dla swoich dzieci. Podczas jednak, gdy zgłoszenia tych ostatnich nie doznały uwzględnienia, ja — z woli Bożej — zostałem przyjęty. Co za łaska! Zostawszy uczniem, zrozumiałem prędko, że wiara Rzymu jest drogą duszy, jest drogą do nieba. Otworzył mi na to oczy — najpierw codzienny wykład katechizmu, potem piękne ceremonje w kościele, przedewszystkiem zaś dobry przykład kolegów katolików. Widziałem jak przystępowali każdego dnia do Komunji świętej... A ja przez całe moje życie nie komunikowałem ani razu!...

Oświadczyłem więc naszemu nauczycielowi, Ojcu Korneljuszowi: »Mój Ojcze »miodzie«, i ja także chcę przyjąć wiarę katolicką; weź mnie i ochrzcij...

— Dobrze, bardzo dobrze, moje dziecię »czerwone«, odpowiedział, pomówię z Ojcem Józefem. Jeśli powie tak, to cię ochrzcimy...«

Powiadomiono o wszystkiem Abbę Jossiefa. Wezwał mnie do siebie, a kładąc mi rękę na głowie odezwał się w te słowa: »Ghessesseu, gotowość twoja przejścia na wiarę katolicką cieszy nas szczerze. Toć dla zbawienia duszy twojej opuściliśmy ojczyznę naszą, rodziców, przyjaciół... Ale należy działać rozważnie. Jesteś synem wodza. Ojciec twój gniewać się będzie, gdy się nawrócisz i zmusi cię do odstępstwa. Lepiej poczekajmy jeszcze... Ucz się nadal, nie ustawaj w modlitwie, miej cierpliwość. Gdy wybije godzina Boża, wtedy cię ochrzcimy...«

Miałem oczy łez pełne, w sercu tyle bólu, ani rusz nie chciało minąć. Mimo to jednak rzekłem: »Panie, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi!« I dalej, aż do ubiegłego sierpnia, uczyłem się pilnie języków: amariga, gheez, francuskiego, przedewszystkiem jednak katechizmu. Żebyście wiedzieli jak bardzo lubię katechizm!... to droga duszy.

Z początkiem września stała się u nas rzecz wielka. Czterech, słyszycie? czterech z pośród naszych seminarzystów zostało w Asmarze wyświęconych na księży. Musiała niezawodnie czuć się z tego bardzo szczęśliwą dobra nasza matka, Kościół święty... Z naszymi czterema otrzymało jeszcze święcenia z rąk biskupa Cattaneo siedmiu kleryków z jego seminarjum w Cheren... Siedmiu a czterech, to razem jedenastu Abisyńczyków wyniesionych do godności kapłaństwa w jednym i tym samym dniu... Czyż odważy się jeszcze ktokolwiek twierdzić, że Etiopja jest ziemią niewdzięczną i bezpłodną?!...

Zwoławszy nas wszystkich dyrektor pyta: »Kto z was chciałby pójść do Alitieny, by powitać uroczyście nowych kapłanów?«

— Ja... ja... ja...

— Ostrożnie, moi drodzy! Wołacie wszyscy: ja... ja... Dobrze.. Ale są wśród was tacy, co mają krótkie nogi... Otóż do Alitieny jest bardzo daleko... Trzeba maszerować dziewięć godzin... Czy potraficie?...

— Tak... tak... tak... Abisyńczycy mają nogi jak kozice..

— Będziecie umieli wyruszyć o czwartej z rana?

— Tak.. tak... tak... Wstalibyśmy i o północy, gdyby było potrzeba...

— Doskonale! Więc rzecz załatwiona.«

Ja jednak, biedny Ghessesseu, ja nie miałem pójść razem z kolegami! Ojciec mój przysłał po mnie służącego z następującem ustnem poleceniem: »Moje dziecko, przybądź prędko; potrzebuję cię, musisz mi napisać kilka listów do Addis-Abeby. Oczekuję cię dziś wieczór...«

Niestety, nie była to prawda, lecz podstęp mający mnie zwabić w zasadzkę... Nie przeczuwając niczego, poprosiłem Abbę Jossiefa o pozwolenie udania się do domu. Umówiliśmy się, że spotkam się z towarzyszami w Alitienie, nazajutrz... Wyruszyłem więc do Guali w południe, to znaczy — według abisyńskiego sposobu liczenia — o godzinie szóstej. Służący towarzyszył mi; szliśmy bardzo bardzo prędko... O zapadającej nocy stanęliśmy w Golemekadzie. Udałem się zaraz na spoczynek do pokoju mamy. Mama kochała mnie wtedy jeszcze bardzo, a i ja zachowałem był dla niej w sercu tkliwą miłość.

Następnego dnia rano pobiegłem do ojca. Ucieszył się na mój widok niezmiernie, ucałował i kazał siąść przy sobie.

— Ojcze mój, rzekłem, ponieważ chciałbym dziś jeszcze pójść do Alitieny, napiszmy owe listy jak najprędzej... Gdzie papier?

— Tu wcale a wcale nie chodzi o to, byś mi napisał listy, odpowiedział ojciec, ale o zaręczenie cię z młodą dziewczyną, piękną i bogatą...

— Ojcze, ja pragnę uczyć się dalej. Co mi po młodej dziewczynie, pięknej i bogatej?...

— A, więc jej nie chcesz?!...

— Nie...

— To dobrze! Ja jednak, kegnasmatch Redda, chcę tego...«

Po chwili milczenia, podjął na nowo: »Nie rozumiem twego oporu. Czyż byłbyś przypadkiem katolikiem?... Miałżebyś przejść na tę wiarę tak przewrotną?

— Tak, ojcze... (Było to tylko do połowy prawdą; nie otrzymałem był bowiem jeszcze Chrztu św., ale serce mi biło po katolicku.)

— I tyś śmiał to zrobić?

— Tak, ojcze.. «

Obecna naszej rozmowie ciotka zerwała się z miejsca pełna oburzenia, wołając: »Ponieważ nas taką okrył hańbą, zasługuje na to, by go osmagać rózgami...

— Masz słuszność«, rzekł ojciec rozgniewany. I zwracając się do żołnierzy, dodał: »Prędko, przynieście mocny łańcuch i skrępujcie tego przekleńca!«

Jeden ze stojących na warcie żołnierzy wyszedł, wracając prawie zaraz z grubym łańcuchem. Podczas gdy go wiązano wokoło mych nóg, zerwały się — z woli Bożej — ogniwa... Ojciec, odchodząc z gniewu, skoczył ku mnie, zdarł sznurek zawiązany u mej szyi; odrzucił z pogardą medalik Najświętszej Marji Panny i złamał mój krzyżyk. O, jak bardzo cierpiałem na widok tego zbeszczeszczenia, Ty jeden to wiesz, mój Jezu! Byłbym dał życie z ochotą, by Ci tego oszczędzić... Potem, obracając się do żołnierzy: »Weźcie mój pas skórzany, roz-

kazał, i przywiążcie go mocno do tego tu słupa...« Tak też uczyniono...

Wtedy ojciec, uzbroiwszy się w rózgę, rozpoczął wymierzać mi karę, bił długo; zużył rózgę zupełnie na plecach moich i niżej... Po egzekucji rzekł: »Wyrównałem twe rachunki... Czy wyrzekasz się teraz złej i przewrotnej wiary katolickiej?

— Wiara katolicka nie jest złą i przewrotną, odpowiedziałem; ona dobra jest i jedynie prawdziwa... Raczej śmierć niż odstępstwo!

— Ja ci nakazuję odstępstwo... Bądź posłusznym... Jestem twoim ojcem...

— Jesteś ojcem mego ciała, ale Ojcem duszy mojej jest Bóg... Wolę umrzeć, niż wyrzec się religji Rzymu...«

Rzekł więc ojciec do żołnierzy: »Odwiążcie go od słupa; rozciągnijcie go na ziemi, skrępujcie mu ręce i nogi...«

Wykonano rozkaz... Wtedy posłał ojciec młodszego mego brata po rózgi. Przyniósł ich pięć. Ojciec dał mi się bliżej zapoznać z każdą z nich. Razy padały, świszczały, trzeszczały... Ilem ich otrzymał? Bóg wie... Czyż można policzyć grad?

Ojciec wysyłał mnie do djabła; ale ja nie poszedłem... Obecne osoby — a było ich wiele — płacząc zaklinały mnie, bym się wyrzekł wiary katolickiej; z pomocą Ducha św. wytrwałem... Wkońcu ojciec, widząc mnie całego zalanego krwią, porozdzieranego ranami, nie mógł powstrzymać się od łez.

»Co to za dziecko! zawołał; ja go nie poznaję... On, co był łagodny i cichy jak baranek, zmienił się teraz w lwa... Musiano go chyba zaczarować.

Zaczęli go pocieszać obecni: »Nie rozpaczajcie... Ghessesseu jest jeszcze młody. Wielu innych upie-

rało się jak i on, a potem odmienili się... I z waszym synem tak będzie.. Nie bijcie go już więcej; na teraz jest dość ukarany...«



Abba Jossief z małym męczennikiem, trzymającym w ręku złamany krzyżyk.

Posłuchał ojciec; kazał mi jednak nałożyć lekkie kajdanki, które mi pozostawiono przez cały dzień W południe przynieśli mi żołnierze kawałek chleba Nie wziąłem; miałem serce zbyt ściśnięte, zanadto byłem smutny, bym mógł był jeść cośkolwiek...

Nastał wieczór... Ojciec kazał zdjąć mi łańcuszki na dobre, zalecając jednak żołnierzom, by mnie w nocy nie spuszczali z oka. Spałem niewiele, a sen mój przerywały co chwila okropne mary...

Przez trzy dni z rzędu ponawiał ojciec próby, ufając wyrwać mi słowo odstępstwa. Słowa tego jednak nie wypowiedział mój język... Zdumiewali się wszyscy moją niewzruszoną stałością... Oni nie wiedzieli, że to Pan Jezus mi dodawał mocy; z Nim — niema mowy o porażce..

Czwartego dnia widząc, że ojciec jest jakiś łagodniejszy, odezwałem się: »Ojcze, zostawiłem w Guali rzeczy moje i książki.. Pozwól mi pójść po nie..

— Dobrze, odpowiedział, pozwalam ci, ale wróć jak najprędzej ..«

Następnego poranku wyruszyłem w drogę z radością ptaka, co się wydostał z klatki... Odetchnąłem.·. Byłem wolny... Dziękowałem gorąco Bogu ..

W Guali zgotowali mi koledzy uroczyste przyjęcie, profesorowie winszowali... byłem, jak żołnierz wracający zwycięzcą z pola walki.. Opatrzono mi rany, któremi były poorane moje biedne plecy... Były tak liczne i tak głębokie, że dedjiatele Desta, prefekt w Agamie, zawołał wzruszony: »Żebym się na to nie patrzył własnemi oczyma, nie wierzyłbym nigdy, że ojciec może tak katować dziecko swoje, niewinne...«

Nie potrzeba chyba dodawać, że do Golemekady nie powróciłem Napróżno ojciec słał po mnie jednego służącego za drugim; byłem głuchy na wszystko. Miałem dosyć... A zresztą, ten, który odtąd jest moim jedynym ojcem, to Ojciec niebieski... O, żebym tak mógł kiedyś zostać sługą Jego, Jego kapłanem!... Pomódlcie się dla mnie o tę łaskę!...

* * *

Powyższe opowiadanie, przesłane świeżo Sodalicji św. Piotra Klawera przez W. O. Gruson, ze Zgromadzenia łazarzystów, przełożonego Misji w Abisynji, zawiera najprawdziwszą prawdę. Jakież bohaterstwo w tym młodzieniaszku czternastoletnim!... Dusze tego pokroju zasługują nietylko na podziw, ale i na modlitwy nasze, by z pomocą Bożą wytrwały w szczytnem powołaniu, do jakiego Bóg je wzywać raczy, zasługują na wsparcie ich ofiarą i jałmużną. Drogie Dzieci, niechby miłość do Najświętszego Serca Jezusowego i wasze serca ukształtowała na wzór tego małego abisyńskiego wyznawcy, a dziać się będzie lepiej na świecie...

Jak „Czterolistna Koniczynka“ stała się apostołem.

(Dokończenie.)

4. Pomoc nadchodzi.

Minęło kilka tygodni; droga z głębi Afryki do Europy daleka, list stamtąd nie prędko przychodzi. Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym O. Marek zebrał znów wkoło siebie dziatwę wraz z Siostrami, dzieląc się z nimi radosną wieścią: »Wysłuchał dobry Bóg prośby nasze. Właśnie otrzymałem odpowiedź od Sodalicji św. Piotra Klawera. Wysłane przez nią pieniądze nadejdą za dni kilka i wybawią nas z nędzy — prócz tego dwie duże skrzynki są w drodze«. Co za szczęście! A dopiero, gdy paczki naprawdę nadeszły! Wszyscy zbiegli się wokoło nich, zgadując, jedno przez drugie, co też w nich będzie. Dwóch najsilniejszych chłopców wniosło je do wnętrza. Zaczęło się rozpakowywanie. Okrzykom: ach, och, nie było końca. Jakie śliczne sukienki! I te kolorowe przepaski! Ma-

łej Gieni dostała się nawet lalka, prawdziwe białe dziecko! Są i katechizmy dla najpilniejszych uczniów.



Zaczęło się rozpakowywanie.

Biedne murzyniątka nie mogą się dość napodziwiać, nacieszyć — śmieją się, krzyczą, skaczą... Dobrej Sio-

stry ogarnia wzruszenie, a i Ojcu Markowi ciśnie się łza do oka. »Mój Boże, jakżeż wywdzięczymy się Sodalicji Klawerjańskiej za taką pomoc?« odzywa się wreszcie drżącym głosem. »Myśli ona o naszych potrzebach z macierzyńską czułością, puka dla nas do serc wszystkich katolików dobrej woli, do dzieci nawet i w ten sposób zbiera dla nas to, czego w Afryce dostać niepodobna. Ona robi dla nas zakupy, drukuje książki w murzyńskich językach, wspiera jak może. Słusznie przeto zwać ją można »Żywicielką afrykańskich misyj«, »Opatrznością Afryki«, a dobroczyńcy, tak dorośli jak dzieci, to jej »Dostawcy za zapłatą niebieską«.

Rozważania Ojca Marka przerywa jednak prędko gwałtowna nieokiełzana radość dziatwy. Wypróżniono wreszcie cudowne skrzynie, nacieszono się nad ich zawartością do syta. Ojciec .Marek wzywa wychowanków do kościoła, dba on bardzo o to, by cnota wdzięczności w serduszkach ich głębokie, silne zapuściła korzenie. »Chodźmy podziękować Bogu«, mówi »za tę pomoc. Pomódlmy się też za tych wszystkich, którzy nam te piękne rzeczy z Woli Jego przysłali. Oby im to Bóg stokrotnie wynagrodził!« Idą więc długą procesją do kościółka, chłopcy sadzą naprzód sążnistemi krokami. Jedni spieszą do Matki Boskiej, drudzy dążą do Serca Jezusa, a mała Gienia klękła tuż przy ołtarzu na najwyższym stopniu, by być bliziutko Bozi, by dobrze słyszał jej podziękowanie za tę śliczną »białą« lalkę.

Modlitwy uszczęśliwionej drobnej czarnej rzeszy tej afrykańskiej krainy, wznoszą się niby wonne dymy kadzideł przed tron Najwyższego. Wznoszą się, by spłynąć na kraj białych, hen daleko za morzem, spłynąć łaską Bożą i błogosławieństwem jak najobfitszem. Na kogo? Na te dzieci białe, pamiętające o czarnem swem rodzeństwie, litujące się nad jego biedą duszy i ciała. Teraz wprawdzie nie widzą szczęścia, które

za ich przyczyną zagościło w biednej stacji misyjnej — ale kiedyś w niebie patrzeć będą i radować się wiecznie z tymi, których miłosierdziem swem ura-



Mała Genia klękła tuż przy ołtarzu..

towały nietylko od śmierci doczesnej, ale co ważniejsza od śmierci na wieki, od potępienia. A radości tej nikt im nie odbierze.

Afryka.

Podróż karawaną.

(Dokończenie.)

Najdogodniejszą porą do podróży jest czas, kiedy słońce zniży się, albo nawet zajdzie i kiedy na niebie

ukażą się miljony silnie iskrzących się gwiazd. Ale powietrze niebawem staje się tak przenikliwie chłodnem, że trzeba się zatrzymać i rozpalać ogniska. Miłe ciepło rozwiązuje języki przewodnikom, opowiadają swoje przygody w pustyni. Mówią nam o wielkich karawanach, które ją przebywają w poprzek, niosąc do wnętrza lądu afrykańskiego towary europejskie z północy i także wielce tam pożądaną sól, a wracają obładowane kością słoniową, złotym piaskiem, strusiemi piórami, kauczukiem, woskiem i innemi płodami Sudanu. Drogi, uczęszczane przez karawany, przecinają pustynię w wielu kierunkach, od portów i oaz nadmorskich, prowadząc do najgłówniejszych siedzib plemion sudańskich. Ponieważ jednak objuczony wielbłąd posuwa się tak wolno, jak pieszy człowiek, więc na przebycie pustyni potrzeba kilku miesięcy.

Od czasu do czasu mijamy się z inną karawaną, dążącą w przeciwnym kierunku; każda z nich jest strzeżona przez oddział Arabów na wielbłądach szybkonogich. Spotykamy także mieszkańców pustyni. Jedni przenoszą się z miejsca na miejsce wraz ze stadami wielbłądów i mieszkają w namiotach zrobionych z sierści wielbłądziej. Drudzy, zwani Tuaregami, tworzą wojownicze bandy rozbójników i żyją z napadów na karawany; trzecia część wreszcie to mieszkańcy żyznych oaz, uprawiający palmy daktylowe, zboża, tytuń, bawełnę, drzewa owocowe itd.

Wszyscy mieszkańcy Sahary są z małymi wyjątkami muzułmanami (wyznającymi religję mahometańską). Rządzą nimi tak zwani s z e j k o w i e, którzy są zarazem ich kapłanami. W oazach są meczety — Arabowie, bardzo pobożni, modlą się w pustyni pięć razy dziennie, klękając na piasku, twarzą zwróceni do świętego miasta Mekki. Rozbójniczych Tuaregów można zdaleka rozpoznać po rasowych i szybkich wielbłądach; są uzbrojeni w piki i miecze i noszą

odzież, która czyni ich podobnymi do kobiet. Każdy wojownik ma na twarzy zasłonę, z pod której widać mu tylko czarne, ogniste oczy. Na głowie mają czerwone turbany, na sobie białe, długie suknie i czarne bluzy, haftowane złotem i srebrem. Pod suknią szerokie spodnie tureckie, jakie noszą i kobiety.

Tauregowie napadają zazwyczaj na karawany, odpoczywające w oazie. Czasami najmują się na przewodników i, znienacka, w drodze zamieniają się na rozbójników, kiedy się nikt nie spodziewa napaści. Są oni fanatycznymi mahometanami, co im jednak nie przeszkadza trudnić się rozbojem.

W pustyni koczują także Beduini (Arabowie), którzy prowadzą tryb życia włóczęgowski. Przenoszą się oni z oazy do oazy wraz ze swojemi stadami i namiotami. Są bardzo uprzejmi; to też, spotkawszy się z nimi, przyjmujemy od nich gościnę. Częstują nas chlebem i potrawą zwaną »k u s k u s«, sporządzoną z prosa i mięsa. Naczelnik zaprasza nas do wspólnego obiadu. Siadamy na rozesłanej macie wełnianej — każdemu dają łyżkę i nóż, ale bez widelca. Nasz gospodarz obyczajem arabskim bierze jadło palcami, w czem należy go naśladować. Potrawy pieprzą tak niemiłosiernie, że kto nie jest do tego przyzwyczajony nie może przy jedzeniu powstrzymać obfitych łez, napływających mu do oczu. Od czasu do czasu potrawy mięsne przeplatają słodyczami, a na zakończenie podają kawę w maleńkich filiżaneczkach.

Beduini mają piękne konie i bardzo się w nich lubują — hodują też z upodobaniem wielbłądy. Wierzchowca swego Beduin kocha, jakby własnego syna, a może nawet i bardziej.

Oto treściwy, choć bardzo niedoskonały obraz strasznej pustyni Sahary.

Odbito czcionkami drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarz. L. Wójcika.

MISJONARKI-POMOCNICE
DLA AFRYKI.

Czy słyszeliście już co o misjonarkach-pomocnicach dla Afryki? Przypuszczam, że nie mieliście sposobności poznać ich bliżej, dlatego powiem Wam, że są to osoby, które nie udając się do Afryki, jednak współdziałają w pracach misjonarzy, a to przez zdobywanie środków potrzebnych im do rozszerzania wiary naszej świętej, środków na budowę i utrzymanie kościołów, szkół, szpitali i ochronek, na wykup murzynków i ratowanie biednej ludności tamtejszej od ostatecznej nędzy.

Misjonarki-pomocnice, podobnie jak misjonarze opuszczają na zawsze rodzinę, a często i ojczyznę; z miłości ku Bogu i duszom nieśmiertelnym poświęcają całe życie swoje Misjom, wyrzekając się nawet radości oglądania owoców swej pracy, jaką mają siostry misyjne patrząc na szczęście murzynów po przyjęciu chrztu świętego po I. Komunji św. i t. d. Widzicie zatem, że potrzeba poświęcenia i zaparcia się siebie. aby być Misjonarką-pomocnicą, lecz komu Pan Jezus dał łaskę powołania, ten najchętniej ponosi wszystkie ofiary i czuje się bardzo szczęśliwy, że może dopomagać w tak świętej pracy.

Jeśli która z czytelniczek czułaby pragnienie wstąpić w ślady misjonarek-pomocnic, może zwrócić się każdego czasu z całem zaufaniem do generalnej Kierowniczki Sodalicji świętego Piotra Klawera, Rzym [23], Via dell' Olmata 16.

Bliższe szczegóły znajdują się w broszurce p. t. »Powołanie misjonarki-pomocnicy dla Afryki«, którą nabyć można we wszystkich biurach Sodalicji świętego Piotra Klawera.